

U progu trzeciej dekady

23 grudnia 2019

Czy Bernard Shaw miał rację?

Żyjemy w czasach kolejnego cywilizacyjnego przełomu. Dobrze charakteryzuje go akronim angielski VUCA (Volatility – zmienność, Uncertainty – niepewność, Complexity – złożoność, Ambiguity – niejednoznaczność). To pojęcie ukute w USA ma ukazywać nowe zjawiska związane z nieprzewidywalnością, z dynamiką szybko zmieniającej się rzeczywistości, a także z coraz częstszymi elementami chaosu, który nierzadko robi wrażenie nie do ogarnięcia.

Wybitny pisarz irlandzki Bernard Shaw (1856-1950) mawiał, że są jedynie dwa niezmiennie, główne problemy, wobec których stoi ludzkość: niedobór wody i nadmiar idiotów. Jest w tym sporo racji, ale w minionych dekadach sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała. Od czasu publikacji pierwszego raportu dla Klubu Rzymskiego Granice wzrostu w 1972 r. zaczęto sobie uświadamiać, że umiędzynarodowienie różnych sfer życia społecznego i gospodarczego, w powiązaniu z rewolucją naukowo-techniczną, zwłaszcza w dziedzinie informatyki i biotechnologii, prowadzi do powstania jakościowo nowej rzeczywistości. Podstawową kategorią jawi się obecnie współzależność. Coś, co się dzieje tam – często daleko od Europy – ma niekiedy błyskawiczny wpływ na nas. Naturalnie dzieje się też odwrotnie.

Świat stał się przy tym wielobiegunowy. Kluczowa jawi się obecnie piątka najważniejszych graczy: Stany Zjednoczone Ameryki, Chiny, Unia Europejska jako całość, Rosja i Indie. To nade wszystko z ich udziałem należy rozwiązywać liczne problemy oraz stawiać czoła wyzwaniom i zagrożeniom globalnym, mającym współcześnie najważniejsze znaczenie dla całej ludzkości. Analizowano je w wielu specjalnych dokumentach

(przygotowanych przed laty np. pod kierownictwem Willy Brandta, Gro Harlem Brundtland, a potem m.in. w dorocznych raportach „o stanie świata” waszyngtońskiego Instytutu Worldwatch) oraz w trakcie całej serii dużych konferencji międzynarodowych, organizowanych w ramach systemu ONZ. Ograniczę się w tym miejscu do sześciu najistotniejszych obszarów.

Problemy demograficzne i żywnościowe

Na czoło wszelkich zagrożeń wysuwała się przez długi czas kwestia możliwości wyżywienia szybko rosnącej populacji Ziemi. Mająca ponad 200 lat, później modyfikowana – teoria maltuzjańska (od nazwiska ekonomisty i demografa Thomasa Malthusa, który w 1798 r. opublikował pracę Prawo ludności) głosiła, że o ile ludność naszej planety rośnie w postępie geometrycznym, to żywności przybywa w najlepszym razie w tempie arytmetycznym, co musi prowadzić do katastrofalnych następstw. Aby przekroczyć barierę jednego miliarda, ludzkość potrzebowała ok. 2 mln lat, drugiego – 100 lat, trzeciego – 30 lat, a następnie tempo to jeszcze narastało. Obecnie w ciągu sekundy rodzą się na Ziemi dwie osoby, czyli w ciągu roku 75 mln. Na całej kuli ziemskiej żyje dziś ponad 7,7 mld osób, z czego przeszło trzy czwarte w tzw. krajach Południa. Przewiduje się, że pod koniec tego stulecia na Ziemi przestanie przybywać mieszkańców. Z jednej strony społeczeństwa państw rozwiniętych (w tym w Europie) żyją coraz dłużej i problemy ludzi starszych, również w Polsce, stają się coraz istotniejsze, a z drugiej w Afryce, liczącej obecnie 1,2 mld osób średnia długość życia jest wciąż niska. Same Chiny i Indie to blisko 40 proc. populacji naszej planety, stąd tamtejsze rządy stosowały – często drastyczne- metody ograniczania przyrostu naturalnego. W każdym z tych państw, jak ocenia indyjski noblista Amartya Sen, brakuje ponad 100 mln kobiet, co jest efektem połączenia patriarchalnej kultury

z ultrasonografią, pozwalającą ustalić płeć dziecka. Były premier ChRL Wen-Jiabao zaburzenia równowagi demograficznej uznał za jedną z trzech – obok epidemii AIDS i katastrofy ekologicznej – plag współczesnych, blisko półtoramiliardowych Chin. Warto odnotować, że Indira Gandhi, jako szef rządu indyjskiego, mawiała plastycznie przed laty, że najlepszą pigułką antykoncepcyjną jest rozwój.

Choć obecnie jest oczywiste, że koncepcja maltuzjańska okazała się fałszywa (nie doceniła m.in. postępu technicznego w zakresie produkcji rolnej), a Ziemia może z pewnością wyżywić co najmniej 15 mld osób, to na początku lat 70. nastąpił na pewien czas absolutny spadek produkcji rolnej w świecie. Tak zwana zielona rewolucja (nowe odmiany zbóż, głównie pszenicy, wyhodowane przez amerykańskiego badacza Normana Borlauga) wkrótce potem odniosła jednak ogromny sukces, zwłaszcza w Meksyku i Indiach, i oddaliła zagrożenie głodu w skali makro. Jednakże poważnym dylematem jest nierównomierność produkcji żywności w poszczególnych regionach globu. W Ameryce Północnej, Europie, Japonii czy Australii mamy do czynienia z nadwyżkami żywności, podczas gdy w wielu państwach Azji, a zwłaszcza Afryki, w największym stopniu w strefie Sahelu (m.in. Niger, Mali, Burkina Faso), ale i w Etiopii, Sudanie, Jemenie, czy Somalii, głodują miliony osób, w tym dzieci. Każdy kto je widział – wychudzone, lecz ze wzdętymi brzuskami, często chore na bilharczozę – nigdy tego nie zapomni. Najnowsze dane z 2019 r. są alarmujące – już 820 mln ludzi cierpi z głodu i niedożywienia, a ponad 2 mld nie ma stałego dostępu do wartościowego jedzenia. Bez długofalowej pomocy międzynarodowej ten stan rzeczy – a Organizacja Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) ocenia, że co roku z głodu i niedożywienia umiera tyle osób, ile liczy Polska – nie ulegnie poprawie. Ale powinno chodzić głównie o pomoc rozwojową, inwestycyjną, a nie jedynie o tzw. pomoc żywnościową.

Surowce i energia

Pierwsze raporty dla Klubu Rzymskiego zwracały uwagę na groźbę wyczerpywania się surowców w skali światowej. Kryzysy naftowe, do których okresowo dochodziło po konflikcie na Bliskim Wschodzie w 1973 r., prowadziły do ogromnego wzrostu cen ropy i rysowały perspektywę radykalnego spowolnienia tempa globalnego rozwoju gospodarczego. To wówczas upowszechniły się takie terminy, jak „broń naftowa” – zwłaszcza w odniesieniu do polityki większości krajów Grupy Eksporterów (głównie arabskich) skupionych w Organizacji Państw Eksportujących Ropę Naftową, OPEC – czy „petrodolary”. Chodziło o to, że niektóre rządy próbowały wykorzystywać swą szczególną pozycję na rynku producentów tego surowca jako narzędzia nacisku politycznego, a inne (choć niekiedy te same, na przykład Libia) postanowiły ograniczać wydobycie, by zachować złoża dla przyszłych pokoleń. Mimo wielu zmian, późniejsze zawirowania m.in. wokół Iraku sprawiły, że cena baryłki ropy (159 l.) latem 2005 r. doszła do prawie 70 dol. i generalnie do dziś się utrzymuje mniej więcej na tym poziomie.

Historycznie rzecz ujmując, szczególnie od pierwszej rewolucji przemysłowej surowce i energia w dużej mierze warunkowały możliwości rozwoju gospodarczego. Dlatego też dostęp do nich i kontrola nad nimi stanowiła prawdziwy powód licznych konfliktów międzynarodowych, a nawet wojen. Rewolucja naukowo-techniczna tylko częściowo zmodyfikowała ów stan rzeczy. Z jednej strony producenci tych surowców koordynują swe poczynania w ramach różnego rodzaju karteli i organizacji (ropy, miedzi, cynku, aluminium itd.), zaś z drugiej – państwa wysoko rozwinięte zacieśniają swą współpracę w tej dziedzinie w ważnych instytucjach, na przykład w Banku Światowym, Międzynarodowym Funduszu Walutowym czy OECD.

Od dawna poszukuje się też alternatywnych w stosunku do tradycyjnych (gaz, ropa, węgiel) źródeł energii i sięga po różnorodne substytuty chemiczne. W największej mierze rzecz

dotyczy energetyki jądrowej, ale liczne awarie i katastrofy jądrowej (w tym w Czarnobylu na Ukrainie w 1986 r.) częściowo zmieniły podejście do tego kierunku postępowania. W niektórych państwach, na przykład w Austrii, Skandynawii, wprowadzono nawet zakaz budowy elektrowni atomowych. Przypadek katastrofy w japońskiej Fukushima w 2011 r. był o tyle nietypowy, iż doszło do niej w wyniku fali tsunami spowodowanej trzęsieniem ziemi.

Światową tendencją jest stopniowe zmniejszanie się udziału ropy w produkcji energii na rzecz gazu ziemnego i węgla kamiennego, a problem zróżnicowania dostaw surowców i energii, szczególnie o tzw. znaczeniu strategicznym, stał się istotnym elementem polityki wielu państw (np. w kontekście budowy gazociągu Nord Stream 2). Pojęcie bezpieczeństwa surowcowego, głównie energetycznego, nabrało nowego znaczenia. Równocześnie widać dziś że mimo wszystko globalne zagrożenia w omawianym obszarze dają się kontrolować. Odrębne zagadnienie stanowi kwestia odnawialnych źródeł energii (OZE), co wiąże się z wyzwaniami ekologicznymi.

Ochrona środowiska i katastrofy klimatyczne

Gens una sumus – „jesteśmy jednym rodzajem ludzkim”. Ta łacińska formuła, będąca mottem funkcjonowania Narodów Zjednoczonych, trafnie uzmysławia wyzwania związane z koniecznością takiego kształtowania środowiska życia człowieka, by elementy przyrody łączyły się harmonijnie z wytworami techniki i cywilizacji. Chodzi zatem o właściwe, praktyczne współistnienie praw przyrody i rozwoju społecznego, o ochronę wszystkich elementów środowiska przed niekorzystnym wpływem działania człowieka i utrzymania ich naturalnego charakteru.

Środowisko naturalne tworzy przecież jeden zintegrowany system, w którym czynniki kluczowe dla egzystencji człowieka

(choćby zanieczyszczenia czy erozja gleb) nie znają i nie uznają granic państwowych. Po raz pierwszy na szersze forum międzynarodowe tę problematykę wprowadził raport ówczesnego sekretarza generalnego ONZ, Birmańczyka U Thanta z 1969 r., nt. środowiska życia człowieka, którego efektem stało się zwołanie specjalnej konferencji w Sztokholmie w 3 lata później. Zgodzono się wówczas, że następuje degradacja wody, powietrza, gleb oraz żywych komponentów przyrody (flory, fauny i samego człowieka). Zrozumiano, iż takie kwestie, jak pustoszczenie globu, stan oceanów zajmujących trzy czwarte powierzchni naszej planety, atmosfery okołoziemskiej czy „zielonych płuc” świata (las Amazonii) muszą stanowić przedmiot wspólnej troski. Czynniki degradacyjne środowiska, a więc np.: ścieki przemysłowe i komunalne, odpady, wyrobiska i hałdy górnicze, zanieczyszczenia pyłowe i gazowe atmosfery przecież się potęgują. Postanowiono dlatego powołać do życia wyspecjalizowany organ ONZ – Program Ochrony Środowiska (UNEP), który w 1973 r. znalazł swą siedzibę w stolicy Kenii Nairobi. Prowadzi on pożyteczne akcje (stworzono na przykład Światową Listę Rezerwatów Biosfery obejmującą sieć prawie 500 obiektów), ale nie może naturalnie zastąpić działalności poszczególnych państw.

Nader pożyteczną rolę w uświadamianiu tego typu zagrożeń odgrywają przy tym niektóre ruchy i partie polityczne (m.in. Zieloni) oraz organizacje pozarządowe i ich struktury ponadnarodowe (Greenpeace i inne). Problemy ekologiczne dotyczą oczywiście wszystkich składników ekosystemu – ziemi, wody i powietrza, ale najgroźniejsze w skali makro są skutki emisji szkodliwych pyłów i gazów (głównie dwutlenku węgla, tlenków siarki i azotu, a także węglowodorów). To ich rezultatem są na przykład efekt cieplarniany, dziura ozonowa i kwaśne deszcze. Właśnie tymi problemami zajął się tzw. Szczyt Ziemi w Rio de Janeiro w 1992 r., który wprowadził do powszechnego użycia pojęcie zrównoważonego rozwoju. Ma to być ekorozwój – czyli spełniający wymogi ekologiczne, odnoszący się zarówno do państw wysoko, jak i słabo rozwiniętych, gdyż w

przeciwnym razie perspektywa globalnej katastrofy może okazać się realna. Istotne znaczenie miało przyjęcie później kilku konwencji międzynarodowych, a szczególnie o zmianach klimatu, których podstawowym celem jest zapobieganie efektowi cieplarnianemu poprzez ograniczenie emisji gazów do atmosfery (głównie dwutlenku węgla), oraz o biologicznej różnorodności mającej gwarantować ochronę flory i fauny oraz zapobieżenie ponadto światowej pladze karczowania lasów. Ramowa Konwencja Narodów Zjednoczonych w sprawie zmiany klimatu zakłada obowiązek stabilizacji emisji gazów cieplarnianych, ale kluczowy tzw. Protokół z Kioto z 1997 r. (obowiązywał od roku 2005) – ustalający pułapy emisji gazów i regulujący zasady swobodnego handlu ich kwotami – nie został ratyfikowany m.in. przez USA, co znacznie ograniczyło jego efekty. Co więcej, w grudniu 2015 r. Protokół ten de facto został zastąpiony Porozumieniem z Paryża, które po czterech latach wprost wypowiedział prezydent Trump. Czołowa trójka globalnych emitentów dwutlenku węgla to: Chiny, Indie i Stany Zjednoczone. Okresowo nawet Kanada nie była skłonna poddać się ostrym regulacjom.

W 10 lat po szczycie w Rio, odbyła się – z udziałem ponad stu przywódców państw i rządów – konferencja w Johannesburgu. Już wtedy skonstatowano brak dostatecznego postępu w dziedzinie ochrony środowiska, wskazując, że globalne, pozytywne rezultaty można uzyskać jedynie przy podejmowaniu działań na wszystkich szczeblach, zaś biedne kraje nie mają na to dostatecznych środków. Istnieje bowiem ścisły związek między programami zwalczania ubóstwa i ochrony środowiska.

Rosnąca populacja i urbanizacja, rozwój przemysłu i niechęć do redukcji emisji zanieczyszczeń już w efekcie prowadzą do poważnych zmian klimatycznych. Ocenia się, że przy utrzymaniu obecnego poziomu emisji dwutlenku węgla na głowę (rocznie do atmosfery trafia 22 mld ton) faktyczna emisja w ciągu 50 lat wzrośnie o prawie jedną trzecią, co wpłynie na wzrost w końcu tego stulecia średniej temperatury na Ziemi o 1,4 – 5,8

stopnia. To z kolei oznaczałoby podniesienie poziomu wód oceanów nawet o 1 metr – z różnorodnymi, tragicznymi skutkami (np. zalanie szeregu państw wyspiarskich). Niedawno w czasie pobytu zarówno w argentyńskiej, jak i chilijskiej części Patagonii oglądałem topniejące lodowce i widok ten jest wstrząsający. Porównywalny w jakimś stopniu tylko z efektami pustynnienia (np. wraki statków w stepie, na obszarze części byłego Morza Aralskiego w Uzbekistanie). Tymczasem reakcja świata na globalne ocieplenie przypomina sytuację z AIDS. W obu przypadkach doszło stosunkowo szybko do ustaleń naukowych, po których nastąpiło unikanie tematu, zaprzeczanie (tak postępuje choćby obecny prezydent USA) i wzajemne obwinianie się. Prawdopodobnie sytuacja nie ulegnie zmianie na korzyść bez reformy globalnego systemu zarządzania i utworzenia np. Światowej Organizacji Ochrony Środowiska oraz bez zapewnienia specjalnych środków na ten cel. Bez tego nie można nawet wykluczyć konfliktów zbrojnych na tle zmian klimatycznych (w związku z falami uchodźców itd.).

Dysproporcje rozwojowe, bieda i wykluczenie społeczne

Czy marzenia o bezpieczeństwie i powszechnej sprawiedliwości społecznej są realne? Prawdopodobnie przesądzi o tym kierunek oraz charakter globalizacji – na ile będzie miała ona ludzką twarz i czy będzie w stanie być demokratyczna i wrażliwa społecznie. Czy da się ją regulować, opierając się na podstawowych wartościach?

Faktem jest, że w 1960 r. najzamożniejsza piąta część ludzkości zagospodarowywała 60 proc. światowego bogactwa, a współcześnie już ponad 85 proc. , podczas gdy odpowiedni wskaźnik dla najbiedniejszych zmniejszył się w tym czasie z 2,3 proc. do 1,3 proc.. Obecnie na Ziemi miliard ludzi pozostaje bez pracy, tyle samo osób nie ma trwałego dostępu do zdrowej wody pitnej, analfabetów jest 900 mln, a 1,6 mld ludzi

– nie tylko w Etiopii, Kongo czy Bangladeszu – żyje za mniej niż 2 dol. dziennie (ok. miliarda za mniej niż 1 dol.!), z reguły zresztą nie posługując się w ogóle pieniędzmi. Afryka wyłączona jest w większości z dobrodziejstw globalizacji; to ojczyzna 25 mln chorych na AIDS (w samej RPA jest ok. 6 mln nosicieli wirusa HIV – najwięcej na świecie). Malaria (350 mln chorych) i gruźlica rozwijają się w najlepsze. Używając innego porównania – w ciągu minionego ćwierćwiecza stosunek dochodów 20 proc. najbogatszych państw do 20 proc. najbiedniejszych wzrósł z 30:1 do 60:1. Te wielkie dysproporcje rozwojowe w zakresie rozwoju społeczno-gospodarczego między państwami tzw. Północy i Południa (de facto – Zachodu i Południa), które przed wielu laty wybitny badacz szwedzki Gunnar Myrdal określił jako największy dramat XX wieku, bynajmniej nie maleją w obecnym stuleciu. Są one źródłem ogromnych i różnorodnych zagrożeń globalnych, nie tylko buntów społecznych.

Dla wielu to właśnie jest największa sprzeczność, a zarazem hańba, współczesnego świata – rosnący dystans między państwami wysoko i słabo rozwiniętymi, bogatymi i biednymi. To na tym tle zrodziły się ruchy oraz protesty antyglobalistów i alterglobalistów, uważających, że wielkie międzynarodowe koncerny oraz takie struktury, jak Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy czy Światowa Organizacja Handlu nie są zainteresowane globalnym postępem społecznym. Innym nie podoba się także to, że spośród stu największych gospodarek świata aż połowa to monopole, a nie poszczególne państwa. Majątek naftowego Exxon Mobilu jest większy od produktu narodowego Szwecji, General Motors od Danii, Daimlera Chryslera od 270-milionowej Indonezji, zaś amerykańskiego Forda większy od PKB Polski. Poszerzanie się luki rozwojowej idzie w parze z rosnącą biedą i wykluczeniem dużych grup społecznych. Dotyczy ono szczególnie bezrobotnych lub pracujących sezonowo (na naszej planecie nie brak przy tym reliktyw niewolnictwa), kobiet i mniejszości seksualnych. Sytuację pogarsza też problem zadłużenia międzynarodowego,

gdyż największy w nim udział mają oczywiście państwa tzw. Południa. Ćwierć wieku temu dostęp do kredytów był stosunkowo łatwy, a i ich obsługa niezbyt kosztowna. Niestety, potem trzeba było zaciągać nowe kredyty, by spłacać same procenty od zadłużenia i stąd wiele państw znalazło się w swoistej pułapce. Szukano rozmaitych rozwiązań zarówno w rokowaniach z tzw. Klubem Paryskim (skupiającym rządy wierzycieli), jak i Londyńskim (obejmującym banki komercyjne). W grę wchodziła zmiana ustalonych uprzednio warunków obsługi zadłużenia, czyli tzw. restrukturyzacja i konwersja. Niektóre państwa zadłużone zawieszały jednostronnie spłatę długów, a swoistym przekroczeniem Rubikonu była w tej mierze decyzja Meksyku z 1983 r. Dziś nie ulega żadnej wątpliwości, że wiele z nich, zwłaszcza krajów afrykańskich i azjatyckich, nigdy nie będzie w stanie wywiązać się ze zobowiązań, a szereg państw najwyżej rozwiniętych oraz organizacji międzynarodowych zaczyna to rozumieć. Dlatego za zjawisko pozytywne należy uznać coraz częstsze decyzje o umarzaniu długów krajom najbiedniejszym, podjęte na przykład w 2005 r. po tragedii tsunami przez członków tzw. Grupy G-7.

Próba rozwiązania kwestii globalnych dysproporcji rozwojowych stało się wysunięcie na VI specjalnej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w roku 1974 koncepcji ustanowienia tzw. Nowego Międzynarodowego Ładu Ekonomicznego. Chodziło o solidarne zapewnienie krajom rozwijającym się odpowiednio wysokiego tempa wzrostu dochodu narodowego i produkcji żywności po to, by do 2012 r. czterokrotnie zmniejszyć wspomniane dysproporcje. Ale mimo wielu negocjacji na linii Północ-Południe, toczących się m.in. w Paryżu i meksykańskim Cancun, nie osiągnięto trwałego porozumienia w żadnej z podstawowych kwestii.

Nie zgodzono się na szereg oryginalnych propozycji, na przykład amerykańskiego noblisty z dziedziny ekonomii Jamesa Tobina, by wprowadzić podatek od transakcji finansowych monopolii i przeznaczyć uzyskane kwoty na pomoc rozwojową.

W 2000 r. na tzw. Szczycie Milenijnym w Nowym Jorku przedstawiciele 189 państw członkowskich ONZ zobowiązali się do realizacji do roku 2015 ośmiu celów rozwojowych w ramach globalnego partnerstwa. Znalazły się wśród nich takie zadania, jak: zmniejszenie o połowę zarówno udziału ludzi żyjących za mniej niż 1 dolara dziennie, jak i głodujących, zapewnienie powszechnej możliwości kończenia szkoły podstawowej oraz eliminacja różnic w dostępie do oświaty między chłopcami a dziewczętami, zmniejszenie o 2/3 wskaźnika śmiertelności wśród dzieci poniżej 5 lat i o 3/4 śmiertelności matek przy porodzie, zahamowanie rozprzestrzeniania się AIDS, malarii i innych głównych chorób, znaczące polepszenie warunków życia co najmniej 100 mln osób mieszkających w slumsach.

Mimo znaczącego postępu daleko było do pełnego sukcesu. Dlatego też we wrześniu 2015 r. wszystkie 193 państwa członkowskie ONZ postanowiły zastąpić Milenijne Cele Rozwoju 17 celami Zrównoważonego Rozwoju i związanymi z nimi 169 konkretnymi zadaniami, które mają zostać osiągnięte do roku 2030. Chyba wszyscy zdają sobie już sprawę z tego, iż nie ma żadnej planety „B”.

Wojny i rozprzestrzenianie broni jądrowej

Przez setki lat różnego rodzaju konflikty zbrojne, a zwłaszcza wojny, niosły ze sobą największe zagrożenia dla ludzi w relacjach dwustronnych i wielostronnych, choć nawet obie tzw. wojny światowe na szczęście nie wciągnęły wbrew nazwie w orbitę działań zbrojnych większości populacji Ziemi. Rozwój broni masowego rażenia, w tym chemicznej i biologicznej, a szczególnie broni nuklearnej użytej jedynie dwukrotnie, ale z tragicznymi następstwami w sierpniu 1945 r. przez Stany Zjednoczone wobec ludności Hiroszimy i Nagasaki, uzmysłowił skalę potencjalnego zagrożenia. Od tego czasu najczarniejszy scenariusz dla rodzaju ludzkiego to sytuacja globalnego

konfliktu jądrowego.

Dlatego istniała świadomość konieczności zapobieżenia takiemu rozwojowi wydarzeń. Od lat 60. toczyły się rozmaite rokowania rozbrojeniowe, przy czym za rzecz najważniejszą słusznie uznano nierozprzestrzenianie broni nuklearnej poza grono pięciu wielkich mocarstw (USA, ZSRR, Francję, Wielką Brytanię i Chiny). W 1968 r. został zawarty Traktat o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej (NPT), do którego przystąpiło ponad 150 państw. Szczególną rolę odegrały umowy rozbrojeniowe z początku lat 90. USA – ZSRR i USA – Rosja (START I i START II) dotyczące broni strategicznych. Nadal dużą wagę ma kontrola zbrojeń i proces budowy środków zaufania. Paradoksalnie swoista równowaga strachu (Stany Zjednoczone i Rosja jako jedyne państwa spośród 9 nię dysponujących mają zdolność do tzw. drugiego uderzenia atomowego, gdyż przez 24 godz. na dobę utrzymują samoloty i okręty podwodne z bronią jądrową na pokładzie), system wzajemnych obserwacji, inspekcji i kontroli, stanowią łącznie najlepszą gwarancję pokoju globalnego, zaś specjalny system łączności ma zapobiec wybuchowi wojny, choćby w drodze pomyłki komputerów. To naturalnie nie oznacza stuprocentowej gwarancji bezpieczeństwa międzynarodowego, ale minimalizuje zagrożenia w skali makro.

Rozmaitych konfliktów zbrojnych o charakterze lokalnym czy regionalnym naturalnie wciąż nie brakuje, by przywołać tylko nadal aktualne czy niedawne przypadki z terenu Bałkanów, Kaukazu, Bliskiego Wschodu (w tym Syrii od 2011 r.) bądź Afganistanu. Ale na szczęście nie niosą one raczej realnej groźby przekształcenia się w konflikt globalny, pomijając sprawę zagrożenia terrorystycznego (choć w Syrii istniało niedawno ryzyko starcia przebywających tam jednostek rosyjskich i amerykańskich). Nie może to wszakże oznaczać lekceważenia różnorodnych niebezpieczeństw związanych w największej mierze z prawdopodobieństwem dostania się broni masowego rażenia np. w ręce nieodpowiedzialnych dyktatorów.

Rozpad Związku Radzieckiego w końcu 1991 r. zaowocował m.in. podjęciem pracy przez licznych tamtejszych fizyków atomowych w wielu krajach Azji i Afryki. Czerwona lampka zapala się więc w związku z posiadaniem broni jądrowej przez takie państwa, jak: Indie, Pakistan, Izrael (oficjalnie do tego się nie przyznaje), od niedawna Korea Północna oraz z perspektywą jej wyprodukowania np. przez Iran. Niektóre z tych państw znajdują się w sytuacji konfliktu z sąsiadami, co może zwiększać niebezpieczeństwo ulegania pokusie użycia tej broni. Na szczęście nie wszystkie one dysponują środkami przenoszenia.

Cichy wyścig zbrojeń

Cały czas trwa przy tym cichy wyścig zbrojeń, choć nie przybiera on takich form, jak w latach 1970. i 1980. Stale rosną wydatki na obronę/zbrojenia (do wyboru stopień eufemizmu). Nakłady na ten cel, według najnowszych danych sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem (SIPRI) wyniosły w 2018 r. łącznie 1,82 bilionów dol. Największy w nich udział mają USA (649 mld dol. czyli 36 proc. całości), a następnie: Chiny (250 mld dol.), Arabia Saudyjska i Indie (po ok. 67 mld dol.) oraz Rosja (61 mld dol.). Polska plasuje się na 19. miejscu z poziomem 11,6 mld dol. Ogromne wydatki na zbrojenia obiektywnie zmniejszają szanse rozwiązania sygnalizowanych wcześniej palących wyzwań globalnych związanych z biedą, dysproporcjami rozwojowymi i wykluczeniem społecznym. Rosyjskie operacje na Krymie, Ukrainie, w Syrii, a wcześniej w Gruzji sprawiły, że przyrost tych wydatków jest szczególnie widoczny w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, które otwarcie głoszą tezę o zagrożeniu stwarzanym przez politykę rządu w Moskwie. Nowym zjawiskiem w ostatnich latach jest też wzrost strategicznego znaczenia obszaru Arktyki. Np. Rosja dysponuje już bazami w 48 miejscach Arktyki (m.in. na Nowej Ziemi i na Wyspie Wrangla,) zaś prezydent Trump (naiwnie) proponował Danii sprzedaż Grenlandii.

Niepokojące jest przy tym widoczne w kilku ostatnich latach wycofywanie się stron z niektórych ważnych porozumień np. rozbrojeniowych, co m.in. podważa wzajemne zaufanie niezbędne do znajdowania właściwych odpowiedzi na wyzwania globalne. Dla ilustracji tylko dwa przykłady. Po długich i żmudnych negocjacjach doszło w 2015 r. do porozumienia z Iranem grupy 5+1 (wielkie mocarstwa i Niemcy). Zakładało ono rezygnację tego państwa z programu nuklearnego w zamian za zniesienie nałożonych przez ONZ, USA i Unię Europejską sankcji. Miało to wielkie znaczenie dla sytuacji na Bliskim i Środkowym Wschodzie, gdyż przez długie lata Stany Zjednoczone uważały politykę rządu w Teheranie za główne zagrożenie dla stabilizacji w tym regionie, m.in. dla swych głównych sojuszników, czyli Izraela i Arabii Saudyjskiej. I choć Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej (MAEA) uznała, iż Iran wywiązuje się ze swych zobowiązań, to Stany Zjednoczone zerwały w maju 2018 r. jednostronnie tę umowę (pozostali sygnatariusze nie). Z kolei w 2019 r., w atmosferze wzajemnych oskarżeń o naruszanie porozumienia, Rosja i USA de facto wycofały się z historycznego (podpisanego jeszcze przez Reagana i Gorbaczowa w 1987 r.) układu o całkowitej likwidacji pocisków rakietowych średniego i pośredniego zasięgu (od 500 do 5500 km). O losach porozumienia klimatycznego z Paryża z 2015 r. już wspominałem.

Zderzenie czy dialog cywilizacji

Nie wchodząc w spory na temat samego pojęcia „cywilizacja”, przyjąć można, że tworzy ona pewną całość kulturową w szerokim tego słowa znaczeniu, której zasadniczym elementem jest religia. Pewne cywilizacje upadały, inne trwają od tysiący lat. Mogą przy tym obejmować jedno państwo lub dużą ich grupę. Nie ma zgody co do pełnej liczby istniejących obecnie cywilizacji. Główne z nich to: chińska, japońska, hinduistyczna, islamska, prawosławna, zachodnia (składają się na nią m.in. niemal cała Europa i Ameryka Północna), latynoamerykańska i afrykańska.

Wybitny uczony amerykański (którego przed laty poznałem na Harvardzie) Samuel Huntington w swej książce Zderzenie cywilizacji wydanej w roku 1996 analizował rzeczywistość międzynarodową poprzez oddziaływania wspomnianych cywilizacji. Nie wykluczył on, że próba dominacji zachodniego uniwersalizmu może w rezultacie przynieść globalną, międzykulturową wojnę prowadzoną przez państwa stanowiące centra kluczowych cywilizacji. W jednym ze scenariuszy mogłaby uformować się wówczas antyzachodnia koalicja międzycywilizacyjna, której osią byłby sojusz islamsko-chiński (konfucjański). Dla wielu zwykłych ludzi, ale i analityków, liczne wydarzenia i procesy przebiegające od czasu terrorystycznego ataku na światowe Centrum Handlu w Nowym Jorku i waszyngtoński Pentagon 11 września 2001 r., stanowią absolutne potwierdzenie słuszności tez formułowanych przez Huntingtona, który zresztą w opublikowanej w 2004 r. innej pracy przewidywał w dalekiej przyszłości rozpad Stanów Zjednoczonych na dwie części: białą i latynoską. Traktowanie zderzenia cywilizacji jako nieuchronnego byłoby swoiście porównywalne z przygotowywaniem się na inny wariant najgorszego scenariusza dla ludzkości, o skutkach zbliżonych do katastrofy nuklearnej. Tymczasem realną, rzeczywistą alternatywą dla owego zderzenia jawi się dialog cywilizacyjny – międzykulturowy i międzyreligijny. Z inicjatywy Iranu taką koncepcję przyjęła Organizacja Narodów Zjednoczonych. W Warszawie w latach 2002 i 2003 odbyły się specjalne międzynarodowe konferencje poświęcone właśnie takiemu dialogowi z udziałem ludzi nauki, duchownych i polityków.

Podsumowanie

W syntetyczny sposób przedstawiłem jedynie sześć zasadniczych problemów i obszarów zagrożeń globalnych. Jest ich oczywiście więcej, na przykład związanych z niebezpieczeństwem naruszania na masową skalę praw człowieka czy nawrotem funkcjonowania systemów niedemokratycznych, a nawet dyktatorskich. Blisko 8 mld ludzi na świecie to de facto jedna rodzina, bo przecież

żyjemy na samotnej planecie – by użyć nazwy świetnego australijskiego wydawnictwa podróżniczego. Ale jedni mieszkają w Bangladeszu, a inni robią interesy na nowojorskiej Wall Street. Odmienne postrzegają różnorakie zagrożenia. Także w Polsce niewielka grupa osób lata prywatnymi samolotami, zaś bez porównania większa- robiąc zakupy w lokalnych sklepach na wsi musi brać podstawowe artykuły „na kreskę”. I tu postrzeganie problemów bywa diametralnie odmienne. W obu przypadkach obie strony wiedzą o sobie sporo w dobie dominacji mediów, rozwiniętych technik komputerowych, Internetu, CNN, zbliżonej mody czy znanych niemal wszystkim piosenek. Niekiedy żyją wszak niemal w odrębnych galaktykach, stąd tym bardziej warto zdawać sobie sprawę ze wspólnych problemów globalnych.

Autorstwo: Tadeusz Iwiński

Źródło: Trybuna.info